

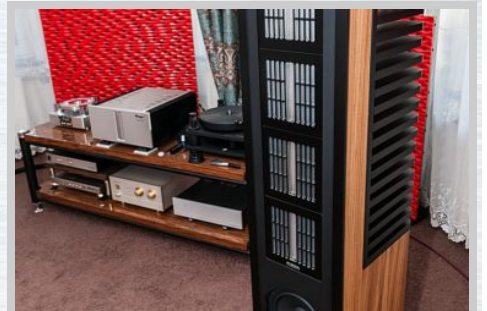
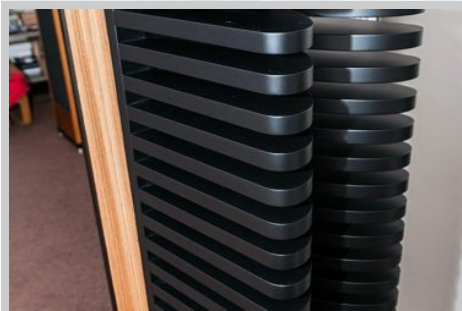
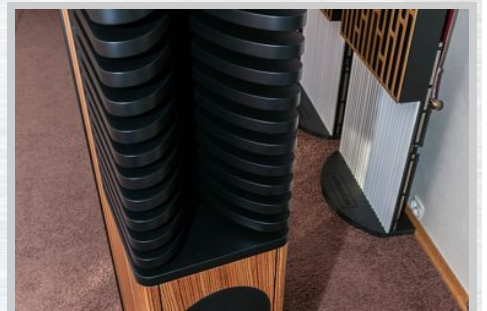
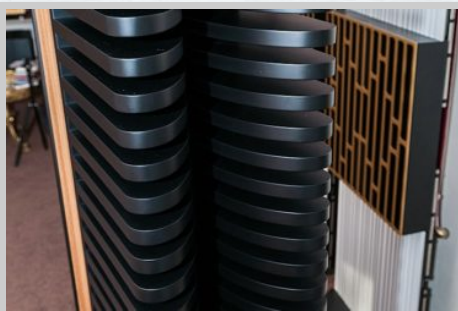
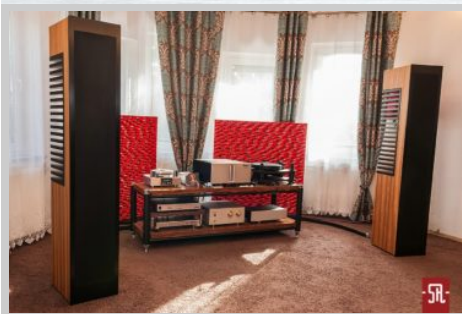
PIEGA MASTER LINE SOURCE 2

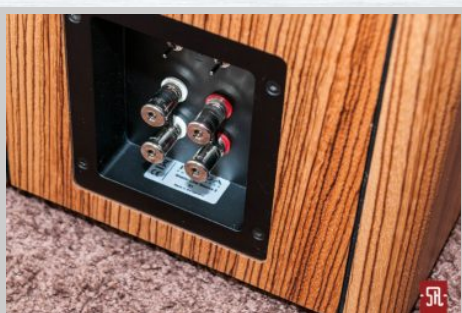
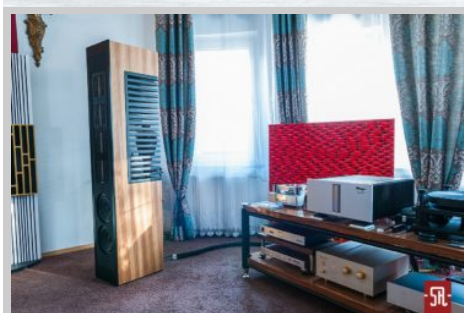
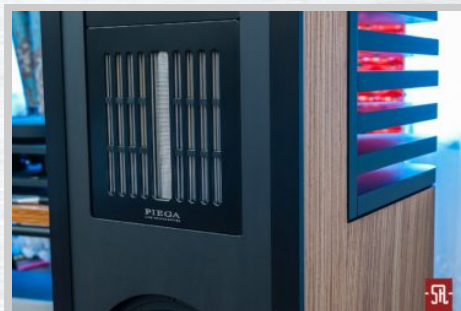
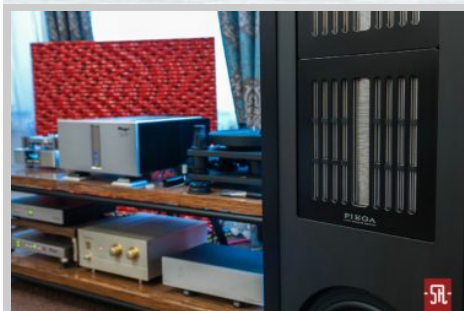
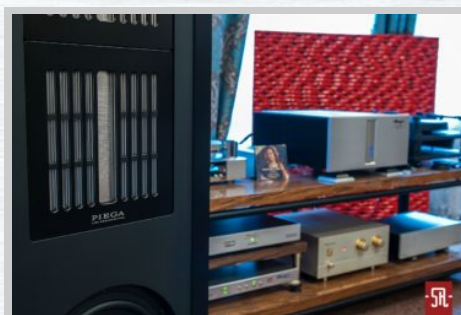
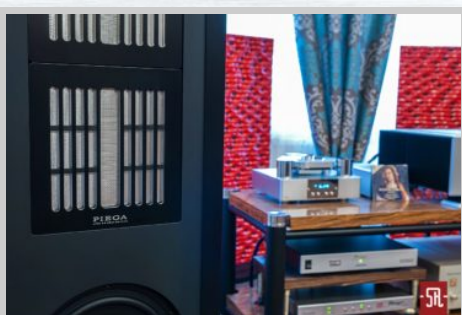
Link do zapowiedzi: [Piega Master Line Source 2](#)



Opinia 1

Jeśli do tej pory sądziliście Państwo, że żywot recenzenta ogranicza się li tylko do tzw. „bywania”, wygniatania ulubionego fotela podczas wielogodzinnych sesji odsłuchowych i marudzenia na lekko poluzowany basik, czy szklistość góry, to muszę Was zmartwić, ale owe chwile pozornie słodkiego nieróbstwa poprzedzają nieco mniej statyczne czynności natury logistyczno – organizacyjnej. Zanim bowiem usadzimy na wspomnianym fotelu tę część ciała, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, najpierw trzeba sobie obiekt testu zapewnić a jak wszem i wobec wiadomo w High-Endzie mało co jest małe, lekkie i jednocześnie tanie. Mając jednak na koncie kilkuletni staż w walce z jakże wysublimowaną i dedykowaną złotouchym odbiorcom materia, zdążyliśmy na powyższe reguły nieco się uodpornić i wydawało nam się, że mało rzeczy jest już w stanie nas zaskoczyć. Tymczasem okazało się, że mieliśmy 100% rację, gdyż rzeczywiście tylko tak nam się ... wydawało. A zaczęło się tak niewinnie – ot, standardowy mail od dystrybutora marki – warszawskiego Horna, czy przypadkiem nie mielibyśmy ochoty rzucić okiem i uchem na drugi od góry model szwajcarskich kolumn Piegi przyjęliśmy z entuzjazmem i nie wahając się ani chwili od razu wyraziliśmy gotowość. Jakby nie było Piega to brand zacny, z tradycjami, a zarazem dość konsekwentnie, od lat wykorzystujący do produkcji kolumn aluminium, które dopiero niedawno stało się „modne”. Krótko mówiąc typowo szwajcarskie podejście do tematu – innowacyjność tak, jednak oparta na ewolucji a nie rewolucji. Pierwsze ostrzegawcze lampki zaczęły nam się jednak zapalać w momencie, gdy w trakcie dalszej korespondencji spłynęły do nas informacje o dość „absorbującym” gabarycie zmierzającej do nas przesyłki i równie niepokojące pytania o zasoby ludzkie w naszej redakcji zdolne poradzić sobie z czekającym nas wyzwaniem. Jeśli zatem jesteście Państwo ciekawi jak Piegi Master Line Source 2 wypadły w naszych ośmiu kątach (kształt OPOS-a jest zbliżony do oktagonu) serdecznie zapraszam do dalszej lektury.





Piega Master Line Source 2 to owoc prac szefa działu rozwoju marki – Kurta Scheucha i projektanta Stephana Hürlemanna. Dodajmy owoc nad wyraz dorodny, gdyż do szczęśliwego nabywcy dociera w postaci nieco przerażającej swymi rozmiarami (190x80x140 cm) i przede wszystkim wagą (niemalże ćwierć tony!!) szczelnie obłożonego solidną sklejką katafalku. Jak jednak w ramach relacji z [unboxingu](#) zdążyliśmy pokazać nie ma co załamywać rąk, tylko zakasać rękawy i we trzech chłopa powinno się udać postawne Szwajcarki w docelowym miejscu pomieszczenia odsłuchowego posadzić. Wbrew wcześniejszym, opartym na dostępnych w internecie zdjęciach, obawą iż Piegi w naszym 40-metrowym OPOSie okażą się zbyt przytłaczające uczciwie trzeba przyznać, iż nawet po pobieżnej aplikacji i wyniesieniu do garażu kartonów jednogłośnie uznaliśmy, że Master Line Source 2 są całkiem zgrabne i choć do Gisele Bündchen nieco im brakuje, to jak na audiofilskie standardy prezentują się nad wyraz atrakcyjnie.

Po zdjęciu mocowanych magnetycznie maskownic wzrok natychmiast kieruje się ku zaskakującym rozmiarów modułom wstęgowym, których każda z kolumn ma aż cztery. Powód takiej obfitości okazuje się jednak dość może nie tyle prozaiczny, co oczywisty, gdyż owe moduły nie są odpowiedzialne li tylko za reprodukcję najwyższych składowych, lecz również średnicy. Kiedy uważniej się im przyjrzymy bez trudu dostrzeżemy iż podzielone są one na trzy sekcje – centralnie umieszczona wysokotonową – pracującą powyżej 3kHz i usytuowane po jej bokach sekcje średnionowe schodzące do 500 Hz. W dodatku, biorąc pod uwagę ich dipolową propagację dźwięku wypadałoby też zapanować nie tylko nad falą bezpośrednią, generowaną do przodu, lecz również nad tym, co dzieje się w po drugiej stronie przetworników. Dlatego też zastosowano możliwie skuteczne rozpraszanie z użyciem precyzyjnych soczewek akustycznych, oraz charakterystycznych grzebieniowych lameli z lakierowanego MDF-u stanowiących nie tylko elementy dyfrakcyjne, lecz również niewątpliwie intrygujący element dekoracyjny nadający całości swoistej lekkości i przełamujący monotonię nad wyraz okazałych brył samych kolumn. Wspomniane, wstęgowe moduły wysoko-średnionowe osadzono na centymetrowej grubości płacie szczotkowanego aluminium stanowiącym tak czysto konstrukcyjny, jak i dekoracyjny sztyld przyklejony do właściwej ściany frontowej, podobnie jak reszta korpusu wykonanej z autorskiego sandwicha złożonego z MDFu i „lepkosprężystej”- wiskoelastycznej ciężkiej i niezwykle wytrzymałej folii Idikell.

W skład sekcji niskotonowej każdej z kolumn wchodzi dwa 220 mm przetworniki basowe UHQD wspomagane umieszczoną na tylnej ścianie parą bliźniaczo-podobnych, również 220 mm membran biernych UHQD. Całość ma do swojej dyspozycji 64 komorę, co uprzedzając nieco fakty, w zupełności wystarcza do wygenerowania małego trzęsienia ziemi.

Panel tylny, oprócz sekcji dyfrakcyjnej i dwóch membran pasywnych gości podwójne terminale głośnikowe WBT, nad którymi skromnie przycupnęły dwa, trójpozycyjne przełączniki hebelkowe odpowiedzialne za regulację ilości wysokich i średnich tonów. Warto również wspomnieć, że nad wyraz miłym dodatkiem jest sześcioletnia gwarancja.

Przechodząc do części poświęconej brzmieniu od razu pozwolę sobie na mały rachunek sumienia związany z pewnymi, wynikającymi z zaskakującej obfitości przetworników wstęgowych obawami o charakter tonalny tytułowych kolumn, czyli mówiąc bez ogródek – lękiem przed zbytnią ofensywnością najwyższych składowych połączoną z niedoborami nasycenia

środka reprodukowanego pasma. Co prawda wielokrotnie, niestety głównie wyjazdowo i czysto okazjonalnie, odsłuchiwanie niższe modele nijakich anomalii nie wykazywały, lecz z reguły dysponowały one pojedynczymi wstęgami wspieranymi przez konwencjonalne drajwery. Tymczasem w PMLS2 wstęg mamy po cztery na kanał a standardowe, stożkowe woofery znajdziemy jedynie na basie i to w dodatku pracujące konfiguracji z membranami biernymi. Całe szczęście po wpięciu ich w nasz dyżurny tor, delikatnym dogięciu a następnie rozpoczęciu żmudnego i wymagającego sporych pokładów cierpliwości okazało się, że nie taki diabeł straszny, jak go malują i abstrahując od mało konwencjonalnego układu przetworników Piegi grają nie tyle całkiem „normalnie”, co wręcz wybornie. Zanim jednak taki poziom satysfakcji udało nam się osiągnąć konieczne były pewne zabiegi natury nazwijmy je kosmetycznej. O ile bowiem z samym ustawieniem kolumn trafiliśmy za pierwszym razem, to już z racji dość niewielkiej, jak na potrzeby goszczących „maleństw” kubatury oposa (raptem ok. 40 m kwadratowych) w pierwszej chwili – przy neutralnym ustawieniu modułów średnio i wysokotonowych akcent był dość wyraźnie skupiony na reprodukcji najniższych składowych. Nie mając jednak technicznej możliwości ich wyregulowania pozwoliliśmy sobie na przestawienie dedykowanych im hebelków na „+” i ... to było to. Pasma uległo wyrównaniu i zamiast dominacji basu można było z powodzeniem mówić o przysłowiowym trójpodziale władzy. Ponadto, biorąc pod uwagę mało adekwatne do przedwiośnia temperatury Piegi potrzebowały lekko licząc kilku – kilkunastu godzin na osiągnięcie temperatury pokojowej, co też przełożyło się na większą swobodę i homogeniczność ich brzmienia. Przejdźmy jednak do konkretów, gdyż zapominając na chwilę o cenie Piegi w dość bezpardonowy sposób rozprawiają się z wcześniej ustalonymi naszymi personalnymi wzorcami dotyczącymi rozdzielczości, holografii i gładkości średnicy i wysokich tonów. Mówiąc bez ogródek 99,9% kolumn jakich dane mi było w ciągu ostatnich kilkunastu lat słuchać przy PMLS2 wypada najdelikatniej rzecz ujmując blado, zgrubnie i nad wyraz siermiężnie. Swobodę i trójwymiarowość przekazu połączone z aksamitną jedwabistością oraz słodczą oferowane przez Piegi można jedynie porównać do poziomu jaki są w stanie zaoferować najlepsze słuchawki planarne, czy nie tak dawno przez nas testowane [Utopie](#) Focala. Bądźmy szczerzy – to już nie jest li tylko „kolumnowy” poziom grania, lecz wymykający się wszelkim próbom kategoryzacji dotyk audiofilskiego absolutu.

Już w ramach krytycznych odsłuchów na pierwszy ogień poszedł wyśmienicie zrealizowany jazz spod bandery ECM-u, czyli [„Contra La Indecisión”](#) Bobo Stenson Trio i już po tym jednym krążku można byłoby skończyć recenzję. Tzn. proszę mnie tylko źle nie zrozumieć. Nie chodzi bynajmniej o to, że po godzinie można było spakować Piegi do kartonów i poprosić dystrybutora o odbiór, a jedynie bogactwo wybrzmień, namacalność niuansów i poczucie rzeczywistego uczestnictwa w sesji nagraniowej okazały się na tyle intensywne i realne, że zgromadzony podczas odsłuchu „materiał badawczy” wydawał się w pełni wystarczający do powstania sążnistej epistoły. Można byłoby rzucić w kąt notatnik i ograniczyć się wyłącznie do czysto hedonistycznej – wykonywanej na własny użytek i ku własnej ucieście żonglerki płytami. Mając jednak głęboki szacunek dla naszych Czytelników oraz wrodzone poczucie obowiązku pozwolę sobie kontynuować tę niezaprzeczalnie subiektywną opowieść. Otóż pozostając jeszcze (dłuższą) chwilę z Bobo Stensonem zostałem kolokwialnie mówiąc rozbity na atomy precyzją, swobodą i nieosiągalnym dla większości konstrukcji (może z wyjątkiem „cebul” – Radialstrahler MBLa) niewymuszeniem i omnipolarnością średnicy oraz wysokich tonów. Tutaj jakakolwiek analiza wydawała się nie tyle zbędna, co wręcz przejawem nietaktu, gdyż wierność brzmieniu live oscylowała w granicach 99,99%. Powyższe peany dotyczą jednak nie tylko perkusjonaliów, co mogłoby wydawać się oczywiste, lecz również niezwykle trudnego „do przeniesienia” w domowe realia fortepianu. Całe szczęście w naszej kubaturze ów król instrumentów nie musiał być poddawany zabiegom rescalingu i dzięki temu mógł zabrzmieć adekwatnie do własnych gabarytów a przede wszystkim możliwości dynamicznych.

Onirycznie – depresyjne albumy [„Dead Magic”](#) i [„Ceremony”](#) Anny von Hausswolff również nie pozostawiały złudzeń co do genialności szwajcarskich kolumn. Mocno funeralny podkład muzyczny, matowo-piskliwy, nieco przywodzący na myśl wczesne dokonania Kate Bush, wokal artystki z jednej strony wprowadzały słuchaczy w stan iście katatonicznego odrętwienia a jednocześnie wprawiały w niemy zachwyt. Podobnie sprawy się miały z twórczością formacji Wardruna, gdzie obcowanie z [„Runaljod – Ragnarok”](#) przypominało obserwowanie czegoś na kształt apokaliptycznej erupcji długo uśpionego podwodnego wulkanu, gdzie groza i niszczycielska moc natury przeplatają się z niewyobrażalnym pięknem i intensywnością doznań, a same wydarzenia rozgrywają się w pozornie spowolnionym tempie. Może to dziwnie zabrmi, lecz wspomniana intensywność oferowanych przez Piegi doznań sprawiała, iż po kilkugodzinnym odsłuchu okraszonym jedynie pojedynczym espresso można było się poczuć, jakby oprócz aromatycznej kawy do organizmu dostała się znaczna ilość innych, poszerzających percepcję, środków. Piszę to zupełnie szczerze i niejako w ramach nieco zawołanego ostrzeżenia, gdyż dłuższy, niepoprzedzony stosownym treningiem, kontakt z tytułowymi kolumnami może przyprowadzić o lekki zawrót głowy. W dodatku, pomimo nad wyraz okazałych gabarytów, PMLS2 ani nie powiększają, ani tym bardziej nie podnoszą lokalizacji źródeł pozornych. Ich, owych źródeł, gabaryty i umiejscowienie w przestrzeni są bowiem dokładnie takie jak w naturze. Czemu o tym wspominam? Powodem jest swoista i niestety powszechna tendencja może nie tyle potężnych, co przede wszystkim wysokich, strzelistych konstrukcji głośnikowych do ustawiania sceny dźwiękowej na rzadko występującej w naturze wysokości, przez co chcąc, nie chcąc zamiast skupiać się na spektaklu na linii wzroku mamy w najlepszym razie obuwie solistów a w najgorszym Pod żadnym pozorem proszę tylko nie włączać nagrań ze Scots bagpipers ;-)

Jest jednak też i ciemna strona Pieg a zwie się ona ... prawdomówność. PMLS2 nie upiększają, nie „robią” dźwięku na własna modłę, lecz starają się w możliwie neutralny i jak najbardziej zbliżony do wzorca sposób zaprezentować reprodukowany materiał. Dlatego też nie liczcie Państwo na to, że krążki do tej pory unikane przez Was ze względu na dość umowną jakość realizacji, nagle pokażą swe szlachetne oblicze, bo tego nie robią. W dodatku realizacje poprawne na tle tych najlepszych również nie zachwycają. Jako dowód przytoczę od pewnego czasu nasze dyżurne [„S&M”](#) Metallicy. Niby wszystko było OK a potęga i spektakularność brzmienia wgniatały w fotel, to już porównanie powyższego albumu z pozornie mniej „zamaszystym” rodzimym (SPAŁEK & MAZUR) wykonaniem [„Orantis”](#) nad wyraz boleśnie dawało do zrozumienia, gdzie leży prawda i co potrafią zdziałać kościelne organy.

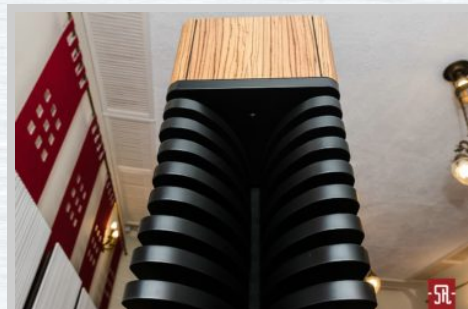
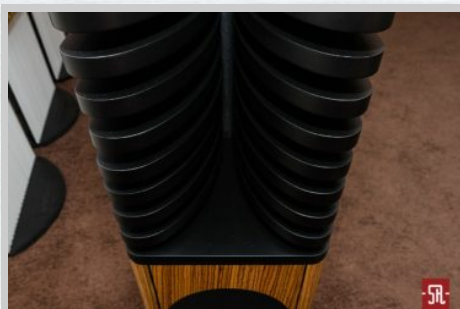
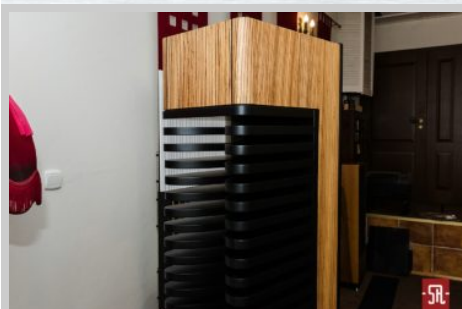
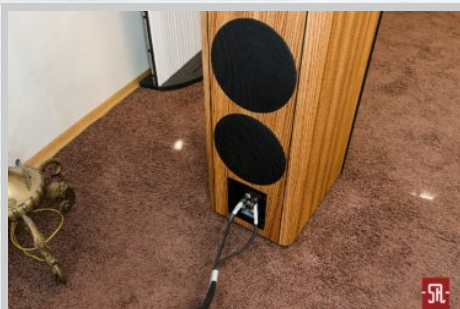
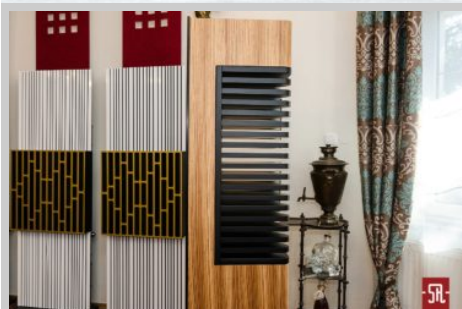
Jeśli, w ramach podsumowania, miałbym napisać coś jeszcze o Piegach Master Line Source 2, byłaby to oburęczna rekomendacja z kategorycznym obwarowaniem możliwości ich odsłuchu w pomieszczeniach o przynajmniej 40-50 powierzchni, po co najmniej podstawowej adaptacji akustycznej. W przeciwnym wypadku efekt będzie mocno niepewny a proszę mi wierzyć (na razie) na słowo, tytułowe kolumny w pełni zasługują na iście królewskie traktowanie i szkoda byłoby drzemiać w nich potencjał po prostu zmarnować. W końcu to prawdziwe szwajcarskie księżniczki – jedne z najlepszych

kolumn, jakich dane nam było do tej pory słuchać.

Marcin Olszewski

Opinia 2

Większość, w miarę sukcesywnie śledzących moje zmagania testowe, czytelników z pewnością zdążyła się zorientować, że gdy na recenzencki tapet trafiają kolumny uzbrojone w tubowe, bądź wstęgowe przetworniki, natychmiast w mej podświadomości zapala się czerwona kontrolka. Nie, żebym od startu wrogo nastawiał się do wykorzystujących podobne rozwiązania zespołów głośnikowych, lecz doświadczenia życiowe dość brutalnie nauczyły mnie przestrzegania pewnej maksymy: „Dobrze zaaplikować wstęgę, lub tubę trzeba umieć”. I wbrew pozorom nie mam na myśli jedynie drogich konstrukcji, tylko pełną paletę cenową, gdyż nawet na całkiem rozsądnych pułapach cenowych da się wybrać coś ciekawego, co mając na pokładzie wspomniane przetworniki nie rani uszu słuchacza, tylko pozostając w swojej estetyce, pokazuje muzykę w bardzo dobrym świetle. Po co kreślę powyższy wywód? Sprawa jest banalna, gdyż w dzisiejszym sparingu na szczycie, tak tak na szczycie, bowiem będące obiektem naszego zainteresowania kolumny zostały wycenione na kwotę ocierającą się o równowartość kawalerki w Warszawie. Zmierzymy się bowiem z konstrukcją znanych z precyzji szwajcarskich inżynierów w postaci monstrualnych zespołów głośnikowych Piega Mater Line Source 2, które ze sporym wysiłkiem logistycznym, tak pracowników dystrybutora, jak i naszej redakcji z przyjaźnie nastawionymi do niej znajomi dostarczył do testu warszawski Horn.





Na wstępie akapitu obrazującego z czym mamy do czynienia jestem zobligowany poinformować potencjalnych zainteresowanych, iż tytułowe zespoły głośnikowe nie są adresowane do typowego Kowalskiego z jego osiągniętym szaleńczo 48 metrów kwadratowych M4 w wielorodzinnym wieżowcu. Pomimo szwajcarskiego pochodzenia są nadmuchani rozmiarowo potomkowie polskiej Husarii, co ewidentnie unaoczniają bardzo mocno imitujące skrzydła wspomnianych formacji bojowych usytuowane z tyłu dyfuzory sekcji średnio-wysokotonowych. Owe żeberka formujące wydobywający się z tyłu dźwięk sugerują nam zaś, iż ten segment kolumn jest typową konstrukcją OB, a to, jeśli pokusicie się o dalszą lekturę testu, ma bardzo zjawiskowe przełożenie na budowanie wirtualnej sceny dźwiękowej. Ale powróćmy na moment jeszcze do samej obudowy, bowiem bardzo istotnym materiałem wykorzystanym do jej powstania jest modne ostatnimi czasy aluminium – w tym przypadku zdobiące front pokryte egzotycznym fornirem skrzyni z MDF-u, co wprost proporcjonalnie przekłada się na osiągnięty ponad 90 kg ciężar każdej sztuki. Przeglądając się rozkładowi przetworników i wykorzystując do tej analizy załączone fotografie patrząc od dołu widzimy współpracujący z usytuowanymi na plecach kolumn membranami biernymi głośników basowych. Mierzając nasze bohaterki baczny okiem z tendencją kierowania wzroku ku górze dochodzimy do wspomnianych wcześniej czterech zespolonych sekcji środek-góra, gdzie umieszczony centralnie pojedynczy szerszy pasek obsługuje rejestry wysokie, a boczne, nieco gęściej uźbrowane powierzchnie pracują w centrum pasma przenoszenia. Przerzucając wścibskie spojrzenie na plecy tytułowych PIEG pierwszym co rzuca się w oczy są zjawiskowe, bo centralnie zapadające się płynnym łukiem ku frontowej ścianie rozpraszacze generowanych ku tyłowi fal dźwiękowych, a gdy jakimś dziwnym trafem uda nam się skierować nasz zawiadujący wizją organ na dolną skrzynkę, oprócz przywołanych membran biernych znajdziemy na niej zlokalizowany w zgłębnionym profilu podwojony set terminali WBT i tuż nad nimi dwa dostrajające do naszych potrzeb zakresy tonów średnich i wysokich przełączniki hebelkowe.

Jak zdążyłem napomknąć, zawsze gdy stoję przed sesją odsłuchową kolumn z przetwornikami wstęgowymi, pierwszym poddawany wnikliwej ocenie elementem są owe mieniające się srebrną poświatą, zazwyczaj prostokątne głośniki, a mówiąc dokładniej ich sposób wpisywania się w końcową estetykę brzmieniową kolumn. I wiecie co? Gdy przygotowując się do rozpakowania tych mierzających bagatela 190 centymetrów i ważących 110 kilogramów kartonów zobaczyłem w sieci, że w tym modelu mamy po cztery wstęgi na kanał, moje oczekiwania wzbiły się na poziom niezdołanego dotychczas szczytu K2. Na szczęście proces unboxing-u był bardzo wyczerpujący, co najzwyczajniej w świecie skutecznie ograniczyło czas na zbędne dywagacje i po około 40 minutach aluminiowe kolosy wydały pierwsze dźwięki. Efekt? Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak nauszną weryfikacja zmiotła w niebyt wydumane w głębi ducha przed-odsłuchowe rozważania. To, co zaprezentował szwajcarski zestaw, za sprawą płyt z muzyką dawną przeniosło mnie w realia największych kubatur kościelnych naszego kontynentu. Dosłownie, hektary głębi i rozmach wysokościowy dostępny dla nielicznych konstrukcji. A wszystko podane z wielką kulturą i oddechem. To było na tyle swobodne granie, że kilka razy załapałem się na przemysleniach typu: co zrobić, aby moje kloce choćby spróbowały zagrać aż tak lekko, prawie – w dobrym tego stwierdzenia znaczeniu – od niechcenia. W tym przypadku role diametralnie się odmięły, gdyż to ja usilnie chciałem słuchać tak podanej muzyki, a nie jak to zwykle bywa ona walczyła o mnie. Trochę to dziwne, ale tak to odbierałem i przyznam szczerze, niestety zdarza mi się to niezbyt często, gdyż standardem jest siłowe przykuwanie słuchacza do muzyki przez emitujący ją sprzęt. Jakież konkretne obserwacje? Proszę bardzo.

Na początek, z duchem oszołomienia sonicznego, przywołałam muzykę spod znaku Klaudio Monteverdiego w kompilacji Johna Pottera i dla zobrazowania, iż wierne odwzorowanie realiów prawdziwej mszy, dla MLS2 nie jest żadnym problemem sięgnąłem po album „[Misa Criolla](#)” w wykonaniu nieodżałowanej Mercedes Sosy. W pierwszym przypadku testowana konfiguracja wręcz przenosiła mnie na goszczących muzyków posadzkę kościoła z pełnym odbiorem przypisanych takiej budowli artefaktów typu echo z jego charakterystycznym opóźnieniem i osłabieniem energii po każdym odbiciu od kolejnej ściany, czy sufitu. Zaś druga przy dobitnym pokazaniu wielkości i masy przenikającego całe pomieszczenie bębna w pierwszym tracku wręcz książkowo zobrazowała pnący się ku górze w kilku rzędach, znajdujący się za panią Mercedes, wspomagający ją w napisanych z rozmachem wielogłosowych partiach chór. Kolejnym bardzo ciekawym krążkiem okazał się

być typowy repertuar oficyny ECM, którego przedstawicielem była formacja Marcin Wasilewski Trio z gościnnym występem saksofonisty Joakima Mildera „Spark Of Life”. Tym razem aby się nie powtarzać, pominę sposób budowania wirtualnej sceny muzycznej, tylko zwrócę uwagę na bardzo ciekawy z punktu widzenia dzierżących obsługę zakresu środka wstęg aspekt oddania drewna w stroiku saksofonu. To na szczęście nie był saksofon grający pochodną blachy, tylko przepiękna, ja odbieram ją jako nosowa współpraca wbrew pozorom instrumentu z rodziny drewnianych z tworzącą dla niego podwaliny sekcją jazzową. Mało tego. Gdzieś na początku obawiałem się zbyt dosadnych, często przy takich przetwornikach żyjących swoim życiem blach perkusisty, gdy tymczasem jeśli miałbym się na siłę przyczepić, powiedziałbym, że było idealnie z malutkim minusikiem. Dlaczego postawiłbym ten minusik? Może z przyzwyczajenia, ale masa talerzy wydawała mi się nazbyt zwiewna. Było zjawiskowo, jednak osobiście nieco bym je dociążył. Ale zaznaczam, to jest szukanie dziury w całym, a nie nasuwająca się od pierwszych nut sugestia, gdyż aby to potwierdzić, poświęciłem temu tematowi kilka wzorcowo zrealizowanych płyt.

I co, reszta w punkt? Tak. Z tym, że nieco inaczej niż mam na co dzień. O co chodzi? W swoim zestawie wszelkie ruchy doprecyzowujące osobiste preferencje posiadanego dźwięku kierowałem w stronę ostrzejszej krawędzi kontrabas. Tymczasem w tym przecież bardzo przypadkowym występie wspomniane monstrualne skrzypce przeniosły nacisk na mocniejszą ekspozycję pojemności pudła rezonansowego niż ostrości przeszywania powietrza przez struny. To naturalnie jest już kwestią osobistych wyborów, ale dla pokazania różnic pomiędzy konfrontowanymi zespołami głośnikowymi temat musiałem wyartykułować. A co z muzyką buntu? A jakże, zapomnijcie o jakichkolwiek ograniczeniach. Rozmiar kolumn i ich uzbrojenie w przetworniki zapewniają pełną skalę dźwięku bez uśredniania wolumenu nawet najbardziej szaleńczych pasaży rodem ze znanego wszystkim z wielu moich wcześniejszych testów Johna Zorna w projekcie MASADA “First Live 1993”. Nieskrępowane ograniczeniem dynamiki i szybkości narastania dźwięku free jazzowe popisy muzyków w pełni wykorzystywały oferowaną przez testowane kolumny swobodę wybrzmień. A wszystko okraszone fantastyczną rozdzielczością zarazem poddane pełnej kontroli. Drive, energia i co najważniejsze pewnego rodzaju homogeniczność, tak powtórzę to jeszcze raz, homogeniczność dźwięku pokazały, jak w momencie odpowiedniej aplikacji nawet niebędących w kręgu moich dotychczasowych zainteresowań głośników wstęgowych łatwo można mnie podejść i spróbować w sobie rozkochać. Szczerze? Tego nie spodziewałem się nawet w najbardziej pozytywnych snach, a jednak się wydarzyło.

Czy po zapoznaniu się z powyższym słowotokiem ktoś, oprócz mnie, jest w jakiś sposób pozytywnie zaskoczony? Jeśli tak, zapewniam, że nie ani razu w tekście nie było lania wody, tylko w miarę oderwana od uprzedzeń relacja ze sparingu z dotychczas bardzo odległą dla mnie szkołą brzmienia. Jakiś dowód? Przypomnijcie sobie nieco inaczej wypadający w moim osobistym zestawie aspekt ostrości rysunku świata muzyki w zakresie niskiego środka. Jakies „ale”? Szczerze powiedziawszy, widzę jedynie dwa ograniczenia. Pierwsze to docelowe pomieszczenie odsłuchowe, a drugie odpowiednio wypchana sakiewka. Jeśli jesteście w stanie przeskoczyć powyższe drobne niuanse, świat fantastycznie pokazanej w warunkach domowych muzyki stoi przed Wami otworem. To zaś oznacza, że gdy jesteście na rozstaju dróg w postaci zmian w systemie, na potencjalnej liście odsłuchowej nie może zabraknąć uskrzydłonych Szwajcarek PIEGA MASTER LINE SOURCE 2.

Jacek Pazio

Dystrybucja: **Horn**
Cena: 299 980 PLN

Dane techniczne:
Typ konstrukcji: 3-drożny
Wykorzystane głośniki:
4 x źródłowe przetworniki liniowe
2 x 220 mm UHQD przetworniki basowe
2 x 220 mm UHQD pasywne membrany
Rekomendowana moc wzmacniacza: 20 – 500 Watt
Skuteczność: 92 db/W/m
Impedancja: 4 Ω
Pasma przenoszenia: 20 Hz – 50 kHz
Wymiary (W x S x G): 176 x 32 x 43 cm
Waga: 93 kg szt.

System wykorzystywany w teście:

- źródło: transport CEC TL 0 3.0, przetwornik D/A Reimyo DAP – 999 EX Limited TOKU
- przedwzmacniacz liniowy: Robert Koda Takumi K-15
- końcówka mocy: Reimyo KAP – 777

Kolumny: Trenner & Friedl “ISIS”
Kable głośnikowe: Tellurium Q Silver Diamond
IC RCA: Hijri „Milon”,
XLR: Tellurium Q Silver Diamond
IC cyfrowy: Harmonix HS 102
Kable zasilające: Harmonix X-DC 350M2R Improved Version, Furutech NanoFlux NCF Furutech DPS-4 + FI-E50 NCF(R)/ FI-50(R), Hijiri Nagomi
Stolik: SOLID BASE VI
Akcesoria:
– antywibracyjne: Harmonix TU 505EX MK II, Stillpoints ULTRA SS, Stillpoints ULTRA MINI

- platforma antywibracyjna SOLID TECH
 - zasilające: Harmonix AC Enacom Improved for 100-240V
 - akustyczne: Harmonix Room Tuning Mini Disk RFA-80i
 - listwa sieciowa: POWER BASE HIGH END
 - panele akustyczne Artnovion
- Tor analogowy:
- gramofon:
- napęd: SME 30/2
ramię: SME V
wkładka: MIYAJIMA MADAKE
przedwzmacniacz gramofonowy: RCM THERIAA

